

BUSZKA.



Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWEJ.

Jest jedna rzecz na świecie, która się nigdy nie zestarzeje — to jest światło. Witamy je w przyrodzie jako życia konieczny element, w społeczeństwie jako — prawdę, w sercu jako dobroć, w sztuce jako natchnienie, w wiedzy jako pewnik, we wszystkim jako prostotę, która przemawiając wprost do rzeczy, zdobywa ludzką fałdę dla swych celów. To, co w spuściznie czasu miało w sobie którykolwiek z tych żywiołów światła, oprze się zniszczeniu, zdobędzie wspomnienia prawo i przeżyje nietylko to pokolenie, w którym się objawiło, ale żyć będzie z następnymi. Ruinie i zniszczeniu podlegają objawy czasowe, miejscowe, typowe w swej epoce, noszące na sobie szatę chwili, palące się luną przejściowych wrażeń, dotyczące więcej formy rzeczy, niż jej istoty. W ogóle, jeśli się w przeszłość zasuwa coś wielkiego, rozpada się ono na tym przelomie wieków na dwie części: jedna, która się zrosła ze swym czasem, zstępuje do sarkofagu, druga oddziela się od tamtej i daje się unieść potomności w dalszą drogę. Im ta część pozostająca będzie większą, tem owa wielkość potężniejszą być musiała, tem więcej jej przeznaczenie odnosiło się do ludzkości, a nietylko do współczesnego pokolenia. Słowacki kiedyś powiedział, że „nawet odłam wielkości zaginać nie może.“ Każda wielka osobistość pozostawia nam taki „odłam“ siebie samej w dziedzictwie, które może społeczeństwo przechowywać — na zawsze.

Mamy właśnie przed sobą osobistość wielkiej kobiety, której otoczenie, epoka, w której żyła, poglądy współczesne, cała barwa i ruch jej czasów, a przytem cała jej własna typowość — należą już do przeszłości, z której mroków i smętnej nieodwołalności wychyla się dziś ku nam to właśnie, co w tej niewieście było ogólnie ludzkim, szczerze narodowym, oryginalnie jej osobistym, i rzuca nam — jej idei prawnukom, snop przeczystego światła, które zlewając się z naszą współczesną drogą, daje najlepszą miarę ogromnych zasług tej podziwu godnej kobiety. Jest nią Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Obejmując wzrokiem dziś obszar jej pracy, jej działalności, jej wpływu, powstrzymać się trudno od gorącego uwielbienia, od tkliwej wdzięczności dla tej wychowawczyni kilku pokoleń niewieścich, nieustrudzonej pracowniczki około podniesienia poziomu umysłowego i etycznego kobiety, dla tej matki chrześcijańskiej dzisiejszego naszego postępu, i dla tej znakomitej autorki, która mogąc uzyskać sławę europejską, gdyby była pisała po francuzku, holdując modzie ówczesnej, wolała uchwycić polskie pióro i niem epokowy przełom nakreślić stanowisku kobiety u nas.

Całego ówczesnego przewrotu dokonała sama jedna! Kobieta 18 wieku, która jeszcze i w początkach naszego stulecia otrząsnąć się nie mogła z bohatersko-sielankowych marzeń, omdleń, czułości, spazmów i trzęsących flakoników, Tańska wyrwała z tych złudzeń przemocą pióra swoich i postawiła jednym rzutem, z dyktatorską niemal śmiałością na właściwym jej stanowisku: żony, matki, gospodyni, obywatelki, biednej czy bogatej, szczęśliwej czy nie, zamężnej czy starej panny, gdziekolwiek, jakkolwiek ją zastała, — nauczyła ją tego czem ma być i jak ma tem być, krótko, jasno, dosadnie, wybornie! I pytamy, jaką to moc miała, jaki czar ta wyosobniona w swej działalności kobieta, że ten cały zamach stanu

społeczno-moralno-rodzinny udał jej się doskonale; niemal bez walki, bez oporu, a tak szeroko poszedł jak fala, a tak zjednał jej ogół kobiecego świata! Oto Tańska miała owo światło w sobie, które umie być prawdą, dobrocią, roztropnym pewnikiem, natchnionym przez serce wdziękiem i nadewszystko miała nieporównaną prostotę, którą trafiała do każdej duszy, czy to wielkiej pani, czy prostej szlachcianeczki, czy to bogatej w zalety umysłu, czy prostodusznej i nieznanającej siebie kobiety. Nietylko myśl szlachetna, która nią kierowała, ale i sposób, w jaki się do swego dzieła wzięła, musiał dodatnie czynić wrażenie i dla nikogo nie trudny, a godzący właśnie wszystko ze sobą, obejmował jakby macierzyńskim ramieniem bujne i sprzeczne, lekkoduszne i fantastyczne żywioły, rozkrzewione w ówczesnym świecie niewiasty. Nie było przecież w działaniu Tańskiej żadnych rozmachów programowych, żadnych efektów prospekcyjnych, żadnych polemik i zatargu; nie występowała przeciwko nikomu, oprócz przeciw temu co było złe; reformując ogół, nie dotknęła boleśnie nikogo; wskazując obowiązki, ułatwiała zarazem ich wykonanie; podnosząc ducha, wskazywała gdzie jest źródło jego mocy; karcąc nadezłość serca, umiała mu wykryć jego przyrodzone pociechy i cnoty, a cnoty te umiała czynić łatwymi. Walka jej ze złem była tak poważna, godna i pełna prostego wdzięku, że nic dziwnego, iż jednała jej szeregowców, i że od pierwszych kroków od razu przystały kobiety do tej swojej przewodniczki, dając się na podziw prędko przeobrażać jej wpływowi. Naleciałości francuzkie, sztuczność tłómaczonej literatury, sofizmaty wolterowskie, ciężkie chmury społeczne, które rozganiano zabawą, złe przeczucia, budzące melancholię i ostatecznie echa nieopatrznej lekkomyślności i naiwnych złudzeń, wyrobiły w ogóle społeczeństwa, a zatem i w kobiecie jakąś rozigraną niedbałość o jutro, chęć używania, póki gorzej na świecie nie będzie i tę romansową smętność, egzaltację i nerwowe rozprężenie, które oddalały od rzeczywistości i chłoneły dusze ludzkie w jakiś świat przesadzony, mglisty, niby lepszy a zawodny boleśnie, jak wszystko, co nie ma prawdy za swoją podstawę.

Rozczulonym tą atmosferą kobietom zdawało się, że są niezrozumianymi istotami, stworzonymi do czegoś wzniolejszego jak dom, obowiązek żony i matki i trudy gospodarskie, i że cel ich mieszka kędyś w obłoku i że wdzięk z nich opadnie, skoro do pracy się wezmą. Hofmanowa im to dosadnie wytłómaczyła, że są w grubym błędzie. Egzaltacje wysmiała, spazmów wręcz zabroniła, wdzięk ukazała w dobroci i istotnej ducha i umysłu ozdobie, cel w spełnieniu obowiązku, a zadowolenie w wypełnianiu tegoż obowiązku. Otarła lzy melancholiczne, na usta wywołała kraśny uśmiech, rozdarła obłok, w którym ani gromu, ani tęczy nie było, rozpedziła zalotnych Filonów, a wskazała kobiecie do kochania dobrego męża, dzieci, czeladkę i biednych, słowem zdmuchnęła upudrowane cudzoziemskie marzenia, a wydobyła w polskiej niewieście — Polkę, wesołą dziewczynę, poważną kobietę, pożyteczną osobę, którą dawne społeczeństwo znało i kochało, tylko że w stuletniej maskaradzie w cudzem przebraniu gdzieś się podziała z widzami. Hofmanowa kazała jej się przeistoczyć czem była na prawdę i tylko dodała jej cały zapas nowych swych myśli, poglądów, tylko ją

uczyć zaczęła powoli, bardzo mądrze, tego, czem miała znów zostać za jakie lat sto.

Hofmanowa wprowadziła kobietę w okres przygotowawczy do całego dzisiejszego ruchu postępowego; gdyby nie pokolenia przez nią wychowane, dzień dzisiejszy nie byłby tem czem jest, ten dzień, który doszedłszy za ledwie obecnie do swego południa, nie wiemy czy pod wieczór będzie mógł się poszczycić takim plonem, jaki zebrała Tańska, odchodząc z pola pracy po krótkim swem życiu.

Dla tego też bardzo przykrem zdumieniem przemijają te nieopatrzne a niegłębokie sądy o Tańskiej, wydawane przez dzisiejsze młode pokolenie, nawet, o zgrozo! najmłodsze, bo pensjonarskie! To też umiejętność tych sądów jest iście pensjonarska; nie wiedzieć, nie czytać! (bo i to się zdarza), a wyrokować orzekomem zacofaniu dzieł p. Hofmanowej, o ich przestarzałości, pleśni etc.

Porozumiejmy się bliżej. We wstępie powiedziano, że nie starzeje się tylko — światło. Blask etyczny i artystyczny, bijący z dzieł Tańskiej, nie potrzebuje na to zdania i sądu niedojrzałych podlotków, przedwcześnie opasionych Zolą i Dumsem, aby przetrwać ich zestarzenie się, i dojść do rozsądniejszych może ich wnuków. Ruinie podpada to co typowe, czasowe, i to właśnie, co w dziełach Tańskiej było potrzebą danej chwili, warunków społecznych, miejscowych, co było wówczas zwyczajem, to ona wówczas uszanować musiała, aby być słuchaną i nie być dżiwaczką, bo nie miałyby być wpływu; ale właśnie to — minęło. Zostały *prawdy* zawsze jednakże, głoszone przez nią śmiało, może nieraz odważniej, niż my to dziś czynimy.

Została spuścizna testamentalna, że: godność własną zachować powinien człowiek wszędzie, że serce, umysł, więcej warte niż rodowód, że praca jest obowiązkiem bez wyjątku każdego, że niewolno być ciężarem rodzinie i społeczeństwu, że dobroć więcej warta niż nauki, że porządek więcej wart od egzaltacji, że sumienie musi być podstawą, prawda środkiem, a cnota celem życia ludzkiego. Czy to są rzeczy przestarzałe? A dodawszy do tego, że ona pierwsza: kobietę nakłaniała do samodzielnej pracy, do zarabiania na siebie, do rozsądnego oglądania się na przyszłość, do bezustannej użyteczności, gdziekolwiek ją los postawi, utrzymy to jasno, że właśnie Hofmanowa, objawwszy w obie swoje serdeczne a pewne dłonie rozmarzoną, utrefioną, pachnącą główkę kobiety 18 go wieku, takiej właśnie moniuszkowskiej „Hrabiny“, odwróciła ją macierzyńskim ruchem ku przyszłości, i ukazała do czego dojść trzeba, ale na razie musiała ją zatrzymać w kole bardzo ścisłym, aby ją przebrać, orzeźwić, zimną wodą rozsądku oblać, po swojsku przystroić i nauczyć roboty, tej codziennej, prostej, przeznaczeniowej roboty, która motyla przemieniła na kobietę, z całym jej zadaniem, jakie ma do spełnienia.

Hofmanowej zawdzięczamy, że na prostą weszliśmy drogę, a dopiero drogą prostą łatwiej idziemy sobie dalej. Cóżby to było, gdyby tę epokę wpływu p. Tańskiej usunąć, a dzisiejsze poglądy, ruch niewieści, cały obecny postęp chcieć zaszczepić w tem pokoleniu, jakie się jej w ręce dostało! Dzisiejszy dzień nie byłby zupełnie przez to pokolenie zrozumianym i wyszedłby z szarpaniny tych dwu epok jakiś dziwoląg społeczny. Tańska grunt przygotowała, na którym my dziś bezpiecznie siać możemy.

Zobaczmy co za lat sto, po nas zbierać będą jako żniwo, mające karmić przyszłość. Owa staroświecczyzna, z takim lekceważeniem zarzuca Hofmanowej, stosować się chyba może do niektórych jej szczegółowych poglądów i zaleceń, które dziś by już zapewne nie obowiązywały, ale wówczas były na czasie i były nowością. Nasze obecne poglądy, dążenia i sposoby działania też za pół wieku będą staroświecczyzną, a pozostanie po nas tylko to, co dodamy do dziedzictwa po Tańskiej z zakresu światła, prawdy, poczucia obowiązków, pracy, zasługi raczej współczesnej. Ścisłe rzeczy biorąc, czy mamy dziś tak jasno szeregowane nasze nowe, postępowe dążenia, cele, drogi, jak je umiała w swoim czasie podać kobietom Hofmanowa? Czy mamy dziś — w szeregu dzieł jednej kobiety tak dokładnie, wyczerpująco, tak sumiennie i estetycznie wyciosaną naszą nową drogę, jak ona ją wskazać umiała? Jeszcze nie. Ogromne na tem polu zasługi ma E. Orzeszkowa, ale to jeszcze nie wszystko, co wiedzieć i co poczuć w sobie i dokoła siebie musimy, więc oglądać nam się jeszcze przychodzi dokoła i niespokojnie wzrokiem sięgamy w dal, bo nie mamy jeszcze dokładnej linii dla tego pośpiesznego pociągu, jakim jedziemy dziś w przyszłość. I dla tego warto nam nieraz zwrócić jeszcze wejrzeniem za Tańską i przypomnieć sobie jej rady i wskazówki.

Hofmanowa znajdowała, że dla kobiety jest dosyć: „wierzyć, słuchać i kochać.“ Niewątpliwie było to dosyć na owe czasy, zatem nie można jej z tego czynić zarzutu, że to „dosyć“ wypełniła; dziś stosunki społeczne, ekonomiczne, rodzinne, zmuszają kobietę, nie tylko, jak dawniej, wierzyć i kochać, ale i działać samodzielnie i mieć głowę nieraz za siebie i drugich, zabiegać około możebności pracy, dla której znów trzeba zdobywać swobodę, opiekę i sprawiedliwość, słowem, zamiast słuchać, wypada jej częstokroć świadomie kierować sobą i drugimi i odpowiedzialnie rozkazywać sobie i drugim nawet. Rady na dzisiejsze położenie nie żądamy od Hofmanowej; ona bardzo mądrze wychowywała nasze babki i matki, aby te mogły nami kierować tak, jak na dziś jest potrzebnem. Nadewszystko nie sądzmy — nie znając. Czytajmy dzieła Tańskiej, bierzmy z nich to, co tam jest dla nas, a znajdziemy jeszcze skarby światła, ciepła, jasnej myśli i tej prostej rzetelności, która pomaga do patrzenia, jasno i w siebie i w świat i w przyszłość.

Hofmanowa zawsze przyjaźnie odnosiła się w swych dziełach do mężczyzn. Bardzo to było oględnie i taktownie, że biorąc w opiekę sprawę jednej połowy ludzkości, nie drażniła przytem drugiej, bo tyłkoby zaszkodziła swym celom, a jeśli istotnie, wyznać trzeba, bardzo niewiastę czyni zależną od męża, przyznając mu z góry wyższość i zupełną władzę, której trzeba „słuchać“, to przyjrzyjmy się tylko uważnie tym zaleceniom, *jakiego* to męża każe Tańska słuchać? jaki daje jego obraz, w jakiej go stawia wyżynie ducha, charakteru, serca, honoru? aż miło czytać! bo *takiego* to warto, to rozkosz, to szczęście, to spokój — słuchać!

Czy mężczyźni byli wówczas tacy? Bynajmniej. Były to tak samo dla nich czasy przełomu, skończyła się i dla nich „wielka tragedia powagi“, szamotali się w bolesnych walkach ducha szukając dróg i sił i haseł, a tymczasem szal zabaw ich porywał i wyłajawiał niejednego z najlepszych ludzi. W owem więc wysokim pojęciu o mężczyźnie, Tańska, dyplomatycznym swym taktem, dała i im sporą dozę nauki, jakimi być *mają* aby byli słuchani, bo tylko *takich* zalecała słuchać kobiecie, z wyrozumiałością dobrocią, gdyby jej znosić przyszło wady, od których nikt prawie nie jest wolny na ziemi.

Dziś, gdy dla czasowych poszczególnych zapartywań, poglądów, zdań Hofmanowej, „zaczęła się“ wedle słów Żmichowskiej: „potomność“, wstępuje ku nam jasno i dobitnie narysowana postać, już nie tylko w wysokim stopniu szlachetnej kobiety, wybornej pedagogistki, znakomitej autorki, świetnej stylistki polskiej, ale jej najogólniejsza cecha łącząca wszystko to razem i tem wszystkim z prawdziwą umiejętnością się posługują-

ca — to jest postać nowatorki, jaką była w całym tego słowa znaczeniu na tle swojej epoki.

Każda nowość w ogóle nieco razi, czasem rani, a przynajmniej niepokoi, bo z legowiska wyrusza sprawy i duchy; Tańska była nowatorką istotnie nieporównaną, bo nie rozniepokoiła nikogo. swem bystrem a łagodnym światłem sięgała do jądra rzeczy jak dziesiąty promień Röntgena — ran nie zadając, nie wyrwijając ludziom ich własnej duszy z korzeniami, lecz uczyć ich pielęgnować tę duszę tak, aby nowemi zakwitała kwiaty; i tak szła bez protestów i oporu, witana jako istota, za którą społeczeństwo tęskniło i na którą czekało z otwartymi ramionami. My, którzy dziś tak wiele mówimy o postępie, o naszych ideach, o przewrotach w życiu, w ideach, w celach, a tyle doznajemy trudów, walki, złudzeń i zawodów, zapytajmy jakie miała talizmany na rzucenie czaru swej epoki, kobietom i mężczyznom i dzieciom, ludziom prywatnym i władzom rządzącym wychowaniem, uczonym i prostaczkom? Oto — miała: miarę w uczuciach, wagę w myślach, powściągliwość w sądach, przężność w działaniu, tolerancję wielkoświatową dla ludzi, a nieubłaganą surowość dla siebie. Wszystko to uczyniło ją nowatorką — szczęśliwą — dochodzącą do celu.

Dlatego też czytamy jej dzieła, uczmy się z nich jakto się w artystycznym polskim języku popiera ważną sprawę, wprowadza rzeczy nowe i przeobraża do głębi współczesne nam ludzkie dusze.

Po uroczej, wspaniałej Pompei gdy ją lawa w pomnik przeszłości zamieniła, pozostały odłamki wielkich arcydzieł, ale w całości zachowały się owe pyszne, niespożycie budowane, wyborne a piękne — drogi rzymskie. Do dziś idą niemi tłumy turystów i ciceronów, podróżnych uczonych, poetów, pielgrzymów znużonych życiem, aby wśród ruin odpocząć po burzach współczesnych. Wśród całego autorskiego i życiowego testamentu Hofmanowej najdrogocenniejszem dziełkiem jest dla nas, jest pozostawiona i głęboko zarysowana przez nią: droga, wytknięta prosto, szeroko, na całe sto lat otwarta i gościnna dla rozwoju wszystkiego co zdrowe, nowe i pożyteczne. Przy tej pięknej „via sacra“ wyrzeźbionej w społeczeństwie dla polskiej kobiety, znajdziemy od miejsca do miejsca odłamki arcydzieła, który nas do głębi serca wzruszy, podniesie, zachwyci, umocni, jako Pamiętka po tej dobrej Matce.

Szczęśna.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA.

Działalność literacka i pedagogiczna Klementyny z Tańskich Hofmanowej nadała barwę i kierunek życiu całego pokolenia Polek, a choć okres ten już dawno zamknięty, wszelkie późniejsze reformy opierały się na tych podstawach, które ona założyła, — w nich swój punkt wyjścia znajdował. Ona zrobiła pierwszy i najważniejszy krok, a choć odbiegliśmy daleko od zajętego przez nią posterunku, winnyśmy jej cześć i wdzięczność, jako pierwszej zwiastunce moralnego i umysłowego odrodzenia.

Niewątpliwie i w epoce współczesnej dzieciństwu Hofmanowej, żyło sporo niewiast znacznych, rozumnych, zasłużonych, ogół jednak znajdował się na fałszywej drodze. Epoka t. zw. Prus południowych, choć bezpośrednio po upadku kraju nastąpiła, należała do najweselszych w życiu towarzyskiem u nas. Szlachta zwolniona od obowiązków obywatelskich i służby krajowej, rzuciła się namiętnie do zabaw i hulank, obowiązki gościnności pojmowano tak szeroko, że życie wśród swoich dla mniej zamożnych stało się zbyt kosztowne i nieraz wyjazd z kraju był jedynym sposobem zaoszczędzenia się. Emigracja francuzka, która po rewolucji tłumnie napłynęła do

kraju, wniosła nam swój język, pojęcia i obyczaje, a że członkowie tej emigracji należeli i w swej pierwotnej ojczyźnie do warstwy próżniwej, rozbawionej i lekkomyślnej, więc ich wpływ na społeczeństwo nasze dodatnim być nie mógł. Wraz z falą emigracji francuzkiej przybyła do nas i moda zagraniczna i kierunek literacki, greckie stroje i pasterskie, sentymentalne romanse, aleje westchnień, świątynie przyjaźni i swobodne obyczaje. Kobiety ówczesne wychowywano wyłącznie do salonu, talenta i obce języki, taniec i wytworny smak w ubraniu, wreszcie wykwintne ułożenie i dowcipna rozmowa, — oto cały zasób środków, którymi je wychowanie uzbrajało do życia.

Nie brakło w kraju naszym mężów, którzy poważniej na rzeczy patrzeli i ten błędny kierunek wychowania kobiet krytykowali, trudno jednak było na razie walczyć przeciw wszechpojętej modzie.

W wychowaniu naszej autorki zaznaczyły się wprawdzie owe ujemne wpływy, nie tak potężnie jednak, aby nie udaremniły późniejszą, wiele silniejszą reakcję.

Ojciec Klementyny, Ignacy Tański, był znany i zasłużony za czasów Stanisława Augusta pisarzem; matka jej, Maryanna z Czemińskiego, była córką znakomitego lekarza. Przyjacielem ich Jan Łuszczewski, późniejszy minister za czasów Księstwa Warszawskiego, wypuścił im w dziedźawę wioskę o 6 mil od Warszawy położoną. Tam mieszkali lat kilka i w ciągu tego czasu, w czasie dłuższej bytności p. Tańskiej w Warszawie, przyszła na świat Klementyna.

Książę Czartoryski, dowiedziawszy się o smutnym położeniu majątkowym pp. Tańskich, zaproponował im, by u niego w Puławach zamieszkali, gdyż potrzebował pomocy Ignacego Tańskiego w swoich literackich pracach. Propozycję tę przyjęli chętnie i przenieśli się ze starszą córką do Puław, młodszą zaś, Klementynę, powierzyli opiece p. Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej, mieszkającej w Izdebnie. Starsza jej córka Dorota była specjalną opiekunką i wychowawczynią naszej autorki.

Sama p. Szymanowska mówiła dobrze i prawie zawsze po polsku, córki jej jednak uczyły się tylko obcych języków, czytały — jak i inne same zresztą, wyłącznie francuzkie książki, mówiły, pisały listy i pamiętniki, modliły się wreszcie wyłącznie po francuzku. Przez cały czas swego dziesięcioletniego pobytu w Izdebnie, Klementyna ledwie dwa razy miała w ręku polską książkę i to zbyt poważnej treści, by ją zrozumieć mogła. Czytała natomiast mnóstwo czułych romansów francuzkich, nad którymi lzy wylewała. Chcąc ją uczyć historii polskiej, panna Dorota tłómaczyła dla niej z wielkim nakładem pracy i starań Naruszewicza na francuzki język. Jedynym zresztą ćwiczeniem w języku polskim dla Klementyny było w owym czasie tłómaczenie na polskie modlitw francuzkich, którym się dla skrócenia długich godzin w kościele przepędzanych zajmowała. Towarzyski jej i przyjaciółki poprzysięgły sobie pewnego dnia waltanie ogrodowej, którą „berceau de l'amitié“ przezwały, że wyjdą za mąż tylko za takich ludzi, którzy będą doskonale mówili po francuzku. Wszystko to działo się w domu dobrej Polki i patriotki, kobiety zacnej i poważnej, jaką była pani Szymanowska.

W r. 1805 umarł ojciec Klementyny, a wkrótce potem matka jej z innemi dziećmi przeniosła się do Warszawy. W domu matki zamieszkała Klementyna dopiero mając lat 14, t. j. w r. 1812.

Pani Tańska była osobą rozsądną i dobrą, pobożną bez przesady, kochającą bez egzaltacji, wychowaną wykwintnie i wykształconą, ale przedewszystkiem trzeźwą i praktyczną. Wpływ jej na córkę był tak wielki, że nadał kierunek jej dalszemu rozwojowi i zatarł prawie w zupełności wpływ pierwotnego wychowania. W pamiętnikach swoich opowiada Klementyna, jak w domu matki w towarzystwie siostr śmiała się serdecznie z tych samych ustępów romansowych powieści, nad którymi poprzednio lzy wylewała.

Najdonioślejszy jednak zwrot, wywołany tym wpływem, stanowiło umiłowanie zaniedbanego

dotąd ojczyściego języka. Matka Tańskiej niezawodnie doskonale znała język francuzki, gdyż żyła przeważnie wśród arystokracji, mówiła jednak i pisała najchętniej po polsku, a najbliższe otaczające ją kółko składało się nie tylko z dobrych obywateli, ale z tych ludzi właśnie, którzy nad odrodzeniem narodowego ducha najusilniej i najgorliwiej pracowali. Na dworze puławskim zbliżyła się do tak zacnych obywateli, jak ks. Izabela i jej córka Marya ks. Wirtenbergska, i niewątpliwie duch, który ożywia Puławy, przenikał też atmosferę domową w rodzinie Tańskich. Zachodziły zresztą i praktyczne względy, zmuszające młodą Klementynę do pracy nad rodzinną mową. Matka powierzyła jej wykształcenie najmłodszej siostry, ponieważ zaś ta po francuzku nie umiała, wykładowym językiem musiał być polski. Pani Tańska pomimo skromnych środków, prowadziła dom dość otwarty, był on nawet rodzajem literackiego salonu, w którym się zbierali znakomitsi ludzie owego czasu. Do jej najlepszych przyjaciół należeli Wyszkowski i Woroniecz. Towarzystwo ludzi poważnych i rozumnych musiało bardzo kształcąc oddziaływać na dorastającą panienkę o umyśle zdolnym i rozwiniętym, z otoczenia więc swego chwytła ona wszystkie zdrowe prądy, które wówczas do stolicy kraju wpływały. Niewątpliwie otoczeniu swemu zawdzięcza ona swą dążność do wychowawczych reform i do oparcia ich na narodowej podstawie, ale, bez kwestyi, także wpływem otoczenia tego, złożonego wyłącznie prawie z tak zw. obozu klasyków, ludzi umiarkowanych i trzeźwych, przypisać można jej późniejszą odporność przeciw nowym romantycznym kierunkom, które musiały ją razić swym wykulawionym charakterem, egzaltacją dla niej niezrozumiałą i niedostępną. Z tym nowym kierunkiem zapoznać się musiała za pośrednictwem Brodzińskiego, którego wielką czcią i sympatią otaczała do śmierci; można jednak powiedzieć, że Brodziński był dla niej do końca jednym prawie zrozumiałym zupełnie przedstawicielem tej szkoły. Po za ten połowiczny i przejściowy romantyzm sympatyje jej nie sięgały.

Wiersz Brodzińskiego pod tytułem: „Żal za polskim językiem,“ drukowany w 1817 r., zrobił na niej silne wrażenie i dał jej pierwszą pobudkę do pisania w polsku. Pierwszą jej drukowaną pracą były „Synonimy,“ pomieszczone w „Pamiętniku Warszawskim“ w 1818 r. W następnym pojawiła się „Pamiętka po dobrej matce,“ napisana przez młodą Polkę, która od razu zjednała jej rozgłos, uznanie i wziętość. Żadna może książka polska z tak szybkim i nagłym nie spotkała się powodzeniem, jak „Pamiętka po dobrej matce.“ W ciągu dwóch lat doczekała się trzech wydań i z żadną ujemną nie spotkała się krytyką. Fakt ten wywołany był niewątpliwie niezmiernie sprzyjającymi okolicznościami. Książka przyszła w porę, była potrzebna, grunt dla niej odpowiednio był przygotowany, była nowością pożądaną, nie taką jednak niespodzianką, żeby się względem niej nieufność zbudzić mogła. Występowała karzącą przeciw najbardziej rażącym, najboleśniej odczuwanym błędom wychowawczym, ale utrzymana była w tonie umiarkowanym.

Szybko pozyskana sława i uznanie ogólne, stanowiły dla Klementyny niemalą do dalszej pracy zachętę. W następnym roku (1820) ogłosiła dwanaście powiastek moralnych dla dzieci pod tytułem „Rok w powiastkach.“

Ponieważ do owej pory literatura dla dzieci u nas wyłącznie składała się z nieudolnych przekładów, a prac oryginalnych nie było prawie wcale, więc przez zapoczątkowanie tego kierunku położyła Tańska niemalę zasługi i znowu uczyniła zadość istotnej i powszechnie odczuwanej potrzebie. Powodzenie „Pamiętki“ zachęciło ją do napisania dzieła, które miało jej ciąg dalszy stanowić, a któremu dała tytuł „Amelia matka.“

Miało ono objąć cały wykład religii w rozmowach dzieci z matką przeprowadzony. Książka ta jednak nie spotkała się z takim jak poprzednie powodzeniem. Przyjaciele chwalili wpra-

wdzie, ale krytyka milczała, a ponieważ dziełko to mało znalazło czytelników i nabywców—autorka poprzestała na wydaniu trzeciego tomu i dalszego wydawnictwa zaprzestała. Mimo to Komissya oświecenia w uznaniu jej zasług położonych w pracy nad tak pożyteczną książką ofiarowała jej jednorazowe wynagrodzenie w sumie 450 rub. W 1823 r. wydała Tańska „Wiadanie Helenki“ książeczkę, która i na razie bardzo przychylnie przyjętą została i najdłuższą może ze wszystkich pism autorki cieszyła się poczytnością. Zawierała ona prócz nauki czytania zbiór powiastek dla małych dzieci, które dopiero czytać zaczynają. Książeczka ta liczy przeszło 20 wydań.

Miała ona stanowić początek większego dzieła, o którym wówczas Klementyna myślała, a które miało zawierać całkowity program wykształcenia małych dzieci. W miarę osiąganego powodzenia, werwa autorska wzmagala się w Klementynie, obfitość pomysłów szczęśliwych i poczucie sił odpowiednich do ich spełnienia podniecało ją do pracy i wywołały najbogatszy ilościowo i jakościowo okres jej twórczości. Poczawszy od r. 1824 do 1828 wydawała „Rozrywki dla dzieci.“ Pierwsze to było w tym rodzaju wydawnictwo w Polsce, a że i układ i kierunek pisemka był bardzo sympatyczny, że redaktorka sama była już głośną i ogólnem się cieszyła uznaniem, więc „Rozrywki“ zyskały od razu szerokie koła małych czytelników a i starsi chętnie z nich pokarm umysłowy czerpali.

Wszystkie prawie działy „Rozrywek“ wypełniała redaktorka sama, pomagali jej tylko od czasu do czasu Gołębiowski, Wyszkowski, Brodziński, Górecki. Ilość pracy włożonej w to wydawnictwo, jest poprostu zdumiewającą. Znajdujemy tam kilkadziesiąt większych i mniejszych powieści, długie opisy podróży po kraju—życiorysy sławnych ludzi, opowiadania historyczne.

Zważywszy, że w ciągu tego samego czasu p. Tańska promowała jeszcze i w innym kierunku, że w 1825 r. wydała „Drugą książeczkę Helenki,“ że w 1824 r. mianowana została przez Komissję oświecenia eforą czyli nadzorczynią kilku pensyi miejscowych, że od następnego poczawszy, wykladała naukę moralności w instytucie guwernantek, dziwić się istotnie trzeba wielkiej sprężystości i energii Klementyny, która z tylu poważnych zadań tak znakomicie się wywiązała.

Przy wszystkich swych literackich pracach nie zaniedbywała zresztą ani obowiązków domowych ani stosunków towarzyskich. Dzieliła z matką opiekę nad młodszym rodzeństwem, a po śmierci p. Tańskiej (1825) sama dom prowadziła, gromadząc w swoim salonie to samo koło znajomych i przyjaciół, którzy najbliższe otoczenie jej matki stanowili. Jej wysoki takt, rozsądek, umiarkowanie i wytworne wychowanie sprawiły, że w tem na owe czasy całkiem wyjątkowem położeniu panny samodzielnej nigdy nie naraziła się opinii, nie wywołała ujemnych krytyk lub złośliwych uwag. Ona tak przeciwna wszelkiej emancypacji, gdy ją wymencypowały okoliczności życia, umiała się doskonale znaleźć w nowem położeniu i zachowała zawsze ten cenny spokój, równowagę i prostotę, które jej były najdoskonalszemi w całym życiu przewodnikami. Pracą swoją zdobywała środki na utrzymanie rodziny, a gdy w r. 1827 Komissya oświecenia w nagrodę jej zasług wyznaczyła jej pensję dożywotnią, los jej zdawał się zapewniony.

Z tym trybem życia tak na owe czasy niezwykłym, Tańska pogodziła się zupełnie. Myśl pozostania starą panną nie przerażała jej wcale—przyszłość przedstawiała jej się jako prosty, równy gościniec pracą pożyteczną wypełniony, nie marzyła o niczem więcej. Ten nastrój swój zcharakteryzowała w napisanej znacznie później powieści p. t. „Krystyna.“ Tymczasem życie chowało i dla niej niespodzianki.

W r. 1828 poślubiła znanego prawnika i historyka Karola Hofmana a był to związek na szczerą miłość, wzajemnym szacunku i zaufaniu oparty, małżeństwo takie jakie odpowiadało

wszystkim wygłaszanym przez nią na powołanie kobiety poglądom. W roku zamążpójścia zaprzestała wydawnictwa „Rozrywek“ lecz posiew przez nią rzucony nie poszedł na marne. Od owej pory, nigdy dziatwa nasza nie była pozbawiona zupełnie polskich wydawnictw peryodycznych.

Wkrótce po ślubie spotkało ją ciężkie zmartwienie. Śmierć zabrała jej ukochaną siostrę Marynię, tę właśnie, której edukacją zajmowała się Tańska w domu matki. Bolesć jakiej doznała w tej zkadinał szczęśliwej epoce miała być zwiastunką innych cierpień.

Wypadki krajowe zmusiły jej męża do opuszczenia kraju.

W r. 1831-ym pp. Hofmanowie przenieśli się do Drezn, ztamtąd zaś wkrótce dalej na Zachód do Paryża emigrować musieli. Życie na obczyźnie dla Hofmanowej, która tak się żyła ze swem miastem rodzinnem, tak szerokie w niem miała koło przyjaciół, tak rozległe wpływy i tak wydatne stanowisko podwójnie przykrem być musiało. To też w listach, w kartach pamiętnika zapisanych w swym czasie brzmi nieraz ton melancholijny, rzewna nuta żalu ale zarazem rezygnacyi. Klementyna pozbawiona została swego ulubionego żywiołu; szukała ukonjenia w pracy ale i ta nie dawała jej takiego jak dawniej zadowolenia. Nie miała dzieci własnych, nie spotykała dziatwy w swem otoczeniu—to też z trudnością przychodziło jej pisać dla dzieci. Dawniej przebywała niezmiernie chętnie w towarzystwie swych małych czytelników. Obserwowanie ich zabaw, notowanie ich dowcipnych i naiwnych słówek stanowiło jej najmilszą rozrywkę. Hofmanowa nie ustawała w pracy literackiej, nadała jej jednak inny kierunek.

W latach 1839—41—42-im wyszły jej trzy powieści: „Karolina,“ „Krystyna“ i „Jan Kochanowski w Czarnolesie.“ W kraju wywołały one żywe zainteresowanie i trafiły na dobrą porę, bo właśnie na epokę, kiedy żywszy ruch powieściopisarski nie był się jeszcze rozbuździł. Również w czasie pobytu zagranicą wydała książkę „O powinnościach kobiet“ zawierającą jej wykłady moralności niegdyś w instytucie guwernantek wygłaszane. Układała także „Kurs dziejów powszechnych,“ który jednakże wyszedł dopiero po jej śmierci.

Mieszkając w Paryżu musiała Hofmanowa obok prac literackich, zajmować się również gospodarstwem i domem, co zgodnie z wygłaszanemi zawsze poglądami, jako pierwszy swój obowiązek uważała. Stosunki jej z resztą zamieszkałej wówczas w Paryżu emigracyi, nie były zbyt rozgałęzione.

Hofmann należał do stronników Hotelu Lamberta, niewątpliwie i żona—tak blisko niegdyś z domem Czartoryskich związana, sympatyje jego podzielała. Bliższa znajomość z Mickiewiczem i z jego towarzyszami: Witnickim i Zaleskim, musiała znacznie wpłynąć na rozszerzenie jej literackich i społecznych poglądów, niemniej jednak romantyzm i jego błyskawiczne blaski i wybuchy, pozostały dla niej zawsze rzeczą obcą i niezrozumiałą. W Mickiewiczzu ceniła więcej człowieka niż poetę, a Brodzińskiego stawiała z nim na równi. Umarła w Passy—wówczas przedmieściu, dziś części Paryża—a pochowana została na cmentarzu Père Lachaise.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa, była to natura dziwnie zrównoważona i harmonijna. Prostota, skromność, wielkie umiarkowanie pozwoili jej być w wielu kierunkach nowatorką nie narażając jej na walki i starcia, zdobyły jej szybko i szeroką popularność, stanowisko wybitne i wpływowe nie zaprzeczone przez nikogo.

Nie była ona ani bohaterką, ani męczennicą żadnej idei—była jednak wierną i użyteczną sługą świętej i dobrej sprawy, cichą i wytrwałą pracownicą na niwie jałowej i do jej czasów ugiem leżącej, że zaś niwa ta przez nią uprawiona i użyźniona, obfite wydała owoce, że się na niej

bujny i zdrowy plon rozwinął, to w znacznej części zawdzięczamy tej właśnie zacnej i szlachetnej obywatelce kraju, której urodzin stu-letnią dzisiaj obchodzimy rocznicę.

J. Moszczeńska.

KLEMENTYNA HOFMANOWA

jako powieściopisarka.

Do czasu wystąpienia na niwie naszego piśmiennictwa potężnej postaci Kraszewskiego, nie mieliśmy w literaturze bieżącego stulecia osobistości tak wpływowej i talentu tak różnorodnego, jak Tańska. Najważniejszą jej zasługą w piśmiennictwie jest niewątpliwie niezamordowana działalność na polu pedagogii; wszakże oprócz tego zyskała ona jeszcze rozgłos, jako pierwsza krzewicielka w Polsce idei oświaty kobiet, następnie jako jedna z najpierwszych osób, zajmujących chlubne stanowisko w dziedzinie podróżopisarstwa, wreszcie jako powieściopisarka.

W chwili, gdy ukazały się pierwsze utwory powieściowe Tańskiej (drukowane w „Rozrywkach” w 1824 i 1825 r.), nasza literatura beletrystyczna była bardzo uboga; z dzieł oryginalnych stanowiły je tylko: „Pan podstoli” Krasickiego, pierwsza we właściwym tego słowa znaczeniu powieść, następnie powieści historyczne Niemcewicza, „Malwina” ks. Witemburskiej i „Nierozsądne śluby” Bernatowicza; obok tego kilka przekładów z angielskiego, francuskiego lub niemieckiego. Tańska wystąpiła najpierw z dwoma opowiadaniem historycznymi w formie listowej, właściwie pamiętnikami, i od razu zajęła zaszczytne miejsce w szeregu najpierwszych u nas powieściopisarzy historycznych, mając za poprzednika na tem polu jednego tylko Niemcewicza, który w szkicu swym p. t. „Dwaj panowie Sieciechowic” (1815), pierwszy raz wziął za tło do opowieści tradycję szlachecką, szkicując życie szlachty z czasów Augusta II-go i Księstwa warszawskiego.

Tańska osnuła opowiadania swe również na tle XVIII-go wieku. Pierwsze z nich „Listy Elżbiety Rzeczyckiej” (1824) jest w ogólnym zarysie barwnym wizerunkiem życia wielkopolskiego w Puławach, gdzie przemieszkuje przez pewien czas bohaterka, młoda dziewczyna, wychowana w klasztorze lwowskim Dominikanek, a po śmierci ojca, zabitego przez hajdamaków na Ukrainie; wzięta przez księcia Czartoryskiego na dwór puławski. Widzimy tu nietyle charakterystykę magnaterii polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III-go, ile raczej stosunek do niej szlachty uboższej, czepiającej się klamki pańskich dworów, a uosobionej w postaci wuja Elżbiety, szatnego księcia wojewody. Stosunek ten czyni niewątpliwie przygnębiające wrażenie na dzisiejszym czytelniku, który spotyka tu na każdym kroku brak ambicji i płaszczenie się przed możnymi, próżniacze życie na wielkim dworze, schlebienie panom i niewolnicze uwielbianie ich, uważane za rzecz zupełnie naturalną i bynajmniej nie ubliżającą godności osobistej. Całe te opowiadanie jest wprawdzie szkicem tylko zlekka rzuconym, ale bądźco bądź szkicem o rysach dość wyrazistych, tworzących całość artystyczną i uderzającą nas prawdą.

Drugi zarys tych samych czasów mamy w opowiadaniu, pod względem formy i ducha zupełnie podobnym do poprzedniego p. t. „Dziennik Franciszki Krasieńskiej” (1825), późniejszej księżny kurlandzkiej. W nim autorka dała nam kilka trafnie pochwyczonych figur z wyższego towarzystwa, pograżonego, jak wiadomo, w nieustannych zabawach, wśród których tłumiono głosy obowiązku, jeżeli niekiedy one się odzywały wobec rozpaczliwego wówczas stanu kraju. Najwoboczniej i najwyraziściej temsamem nakreśliła

tu Tańska postać swej bohaterki Franciszki Krasieńskiej, wychowanej wśród zbytków magnackich panny, z natury poczciwej i rozsądnej, wszakże lubiącej blichtr wielkoświatowy i salony z polorem francuskim.

Ulegając uczuciu miłości i ambicji, rodzącej marzenia o koronie, Krasieńska bierze potajemnie ślub z wymarzoną i wyidealizowanym w swej wyobraźni księciem Karolem, a następnie umie ze spokojem i dumą znosić w milczeniu swój los smutny. W opowiadaniu, odznaczającym się, jak i poprzedni utwór, szkicowością figur i luźnych faktów, nawet bez ślislejszego powiązania ich z sobą, inne postaci zarysowane są w ogóle słabiej, bez należytej wyukłóści: Krasieński, starosta nowowiejski, książę Karol, siostra Franciszki wraz z mężem Świdzińskim przesuwają się w ogóle przed oczyma czytelnika, nie pozostawiając głębszego wrażenia; mimo to całość stanowi dobrze ułożoną mozaikę, odznaczającą się symetrią i doбором kolorów nie jaskrawych wprawdzie, ale naturalnych i zupełnie harmonizujących z sobą. Gdybyśmy na oba powyższe utwory chcieli zapatrywać się jako na powieść, oczywiście w takim razie nie mogłyby one wytrzymać łagodnej nawet krytyki; atoli jeśli nazwiemy je pamiętnikami (a ta właśnie nazwa będzie dla nich najodpowiedniejszą), wówczas będziemy musieli uznać niezaprzeczoną ich wartość, jako utworów, artystycznie odzwierciedlających wyobrażenia, życie codzienne, a poniekąd i stosunki wzajemne niektórych warstw społecznych w połowie XVIII w.

Po tych pierwszych próbach na polu beletrystyki i po licznych opowiadaniach i powiastkach dla wieku dziecięcego, których tu rozpatrywać nie będziemy, jako utworów należących do zakresu pedagogicznej działalności Tańskiej, ukazały się w czasach późniejszych kolejno po sobie trzy jej powieści większe: „Karolina” (1839), „Krystyna” (1841) i „Jan Kochanowski” (1845). Pochop do napisania pierwszej z nich dał autorce romans angielski pani Baillie p. t. „Marriage of the high life;” Tańska wzięła z niego motyw zasadniczy, a mianowicie losy młodej mężatki, niekochanej przez męża, ale rozwinęła go w sposób czysto oryginalny, grupując około swej bohaterki podrzędniejsze postaci, spotykane wśród społeczeństwa polskiego w pierwszych latach b. s. Jak w poprzednich utworach, tak i tu Hofmanowa głównie uwagę skupiła na swej bohaterce, która skutkiem tego jest zarysowana najplastyczniej. Karolina—to typ kobiety zwykłej, nie wybiegającej ani myślą, ani uczuciem poza sferę wyobrażeń i uczuć szlachty ówczesnej; typ kochającej i posłusznej córki, a jednocześnie istoty biernej, która znosi swój z rezygnacją, w milczeniu. Tu właśnie moglibyśmy podziwiać bohaterstwo kobiety i odczuwać jej cierpienie ciche, gdyby autorka umiała uwydatnić je należycie, sięgając głębiej do wnętrza ducha ludzkiego; że tego nie uczyniła, że w ogóle nie była zdolną odmalować charakteru, wychodzącego poza granice zwykłej mierności,—Karolina, pomimo chęci autorki, nie budzi w nas żadnego współczucia i sympatii dla swych cierpień. Oprócz tej postaci głównej stosunkowo dobrze jest nakreślonym charakterem lekkomyślnego, o słabej woli Leona, męża Karoliny, który dopiero będąc opuszczonym przez kochankę, wraca do żony; nieźle jest również naszkicowany kasztelan, poczciwy i poczciwy młodzieniec, a także intrygantka szambelanowa, natura pospolita i szablona; inne postaci, jak rodzice Karoliny lub ojciec Leona uwydatnione są znacznie słabiej. Przewodnią myślą autorki przy pisaniu powyższej powieści był zamiar wskazania, jak powinna postępować kobieta, która wyszła za mąż za człowieka najzupełniej względem niej obojętnego i bawiącego się miłostkami pokątnymi. Czy istotnie dopięła celu swego w tym razie, czy w osobie swej bohaterki dała nam wzór do naśladowania? Niestety, nie: brak jakiegokolwiek akcyi w powieści, która pod tym względem jest jeszcze zupełnie podobną do „Pana podstolego,” a także, co ważniejsze, brak większego pogłębienia duchowej strony bohaterki sprawa, że Karolina czyni na nas wrażenie niedo-

łęstwa, co słusznie zauważył jeden z krytyków ówczesnych, twierdząc, że bohaterka tego utworu jest „dzieckiem, które autorka na pasku prowadzi, a które o tyle tylko ulega zepsuciu świata, o ile się doświadczonej przewodniczce podobna.”

Artystyczne wykonanie drugiej z kolei powieści Hofmanowej p. t. „Krystyna” jest już o wiele lepsze; jakkolwiek monologi samej autorki, mówiącej bezpośrednio od siebie o wydarzeniach i charakterach, i tu są częste; wszakże niekiedy przynajmniej spotykamy sceny dyalogowane (jak np. na samym początku powieści), dające dość obrazową charakterystykę osób. Bardziej monotonnymi i nużącymi nieraz są listy bohaterki lub jej notatki w formie pamiętnika, jakkolwiek i tu możemy spotkać czasem dość zajmujące opisy, np. stosunki literackie w Warszawie pomiędzy 1818 a 1825 r.

W osobie głównej postaci utworu Hofmanowa uwydatniła skryzalizowany w swym umyśle ideał starej panny. „Krystyna — pisze autorka w liście do Lewockiej—to jestem ja, ale ja taką, jaką być zamierzałam w pierwszej młodości, gdyby mi los nie był podał autorstwa, a później innych kolei. Mimo chluby i szczęścia, doświadczenia, jakich w tych kolejach losu doznałam i doznaję, zdarzały się chwile, kiedy widząc, że wcale nie doszła stopnia doskonałości, o jakiej niegdyś marzyłam, żałowałam prawie, że się moje dawne widoki nie ziściły; zapragnęłam tedy choć na piśmie zostawić ślad tego, czem być chciałam, czem być mogłam, i wyznam ci, że żadnego dzieła nie pisałam z taką łatwością.” Tedy Krystyna Hofmanowej—to kobieta, pełna energii i zapału do pracy w zakresie stosunków domowych, poświęcająca się dla swej rodziny, śpiesząca chętnie z pomocą biedakom, wreszcie kobieta, nie zamykająca oczu i na kwestyę społeczne, o których ma dostateczne pojęcie, jakkolwiek żadnego udziału w życiu publicznym nie bierze. Tańska, pierwsza u nas rzeczniczka t. zw. później kwestyi emancypacji kobiet wobec rozwijającego się już wówczas ruchu kobiecego zagranicą zajęła miejsce bardzo umiarkowane i w niektórych rozrywkach rozwija dość szczegółowo swoje poglądy na stanowisko kobiety wśród ogółu; pragnąc dla niej jeno większego i racjonalniejszego niż dotychczas wykształcenia ogólnego, a nie protegując bynajmniej dotychczasowego zacofania, potępia wszakże ideę samodzielności płci swojej i nawet szerszą działalność na polu pracy społecznej poza obrębem ogniska domowego, a wychodzi tu z tej zasady, że „Bóg stworzył kobietę czulszą i słabszą,” niż mężczyznę, dlatego powinna ona kształcić się o tyle tylko, ażeby stać się użyteczną w życiu rodzinnym, wszelką pracę publiczną pozostawiając mężczyźnie. Taką właśnie kobietą, skupiającą w sobie te wszystkie zalety, które autorka chciała widzieć w płci swej, jest Krystyna, wyrzekająca się szczęścia osobistego, a żyjąca dla szczęścia swojej rodziny. Obok tej głównej postaci dobrze uchwyconym wizerunkiem rozsądnej kobiety, jako matki i gospodyni, jest pani Rawiczowa, matka Krystyny; natomiast inne osoby, grupujące się około dwóch powyższych, są już zarysowane mniej plastycznie i nie posiadają większej wyrazistości, co pochodzi przeważnie ztąd, że autorka nie ukazała ich przed nami w akcyi, a tylko, zgodnie z ówczesnym sposobem pisania, bezpośrednio sama lub przez usta głównej bohaterki mówi o nich. Bądźco bądź „Krystyna” jest bezwątpienia najlepiej zbudowaną powieścią Tańskiej, i najważniejszą ze względu na charakterystykę poglądów autorki na zadanie kobiety.

Wyższą jest znacznie pod względem budowy i charakterystyki osób ostatnia powieść Hofmanowej p. t. „Jan Kochanowski,” prawdopodobnie dla tego, że autorka bardziej tu, niż w jakimkolwiek innym utworze powieściowym miała cel dydaktyczny przed sobą, zwracając głównie uwagę na to tylko, by dać poznać młodzieży obyczaj szlachty XVI w. w życiu domowym. Ogólna tedy charakterystyka tego życia wypadła dobrze, natomiast wizerunki osób pojedynczych, a w ich liczbie samego poety, są blade

lub jednostronne. Kochanowski występuje przed nami jako zany obywatel, mąż i ojciec, ale nie jako poeta-mysliciel; ta ważna cecha jego duchowa całkowicie została pominięta przez autorkę; stosunkowo najlepiej odmalowana jest Urszulka, dziecię nadzwyczajne, i krewny Kochanowskich pan Franciszek, doskonale oddany ze strony komicznej. W budowie utworu widzimy brak ciągłości faktów i żywszej akcyi.

Naturę swego talentu powieściopisarskiego trafnie określiła sama Hofmanowa, mówiąc o sobie: „Jestem skromny malarz-amator, który w pracach swoich małej miary i zawsze tego samego rodzaju jedną tylko osobę chce jako tako wystawić, jedną myśl wydać, i jeśli mam całą prawdę powiedzieć, daleko więcej sobie życzę nauczyć, zachęcić do dobrego powieściami mojemu, niż zadziwić lub zabawić; nie idzie mi o to bynajmniej, czy wedle zasad sztuki pisane, ale czy moralne i użyteczne.“ Istotnie, w powieściach powyższych, tak samo jak i w powiastkach dla dzieci pisanych, Hofmanowa ma przedewszystkiem stronę dydaktyczną i cel moralny przed sobą i na to kładzie najsilniejszy nacisk ze szkodą nieraz dla strony artystycznej; jest bardziej moralizatorką niż artystką, dla której każda powieść była tylko środkiem oddziaływania na moralną stronę czytelnika. Talent Hofmanowej wyżyn twórczości nie sięgał, dla tego też w powieściach jej nie spotykamy nigdy postaci wyższych pod względem umysłu lub uczuć; natomiast mamy zawsze ludzi zwykłych, mierznych, których cechą dodatnią jest sumienne spełnianie swych obowiązków w zakresie życia rodzinnego. Bo też umiarkowanie we wszystkim jest bezwzględnie najbardziej charakterystyczną cechą autorki, która nigdy w swych utworach nie daje przewagi jednej jakiegokolwiek władzy duchowej nad inną i wszystko każe miarkować rozsądkiem, a w utworach dydaktycznych zaleca gorąco rozwijać go w kształcącej się młodzieży.

J. Nitowski.

BIAŁA BASZTA

NOWELLA

przez

SZCZĘŚNA.

(Dalszy ciąg).

Drzwi skrzypnęły, trzasnęły, cisza zaległa. Dziewczyna usiadła znużona na stolku pod ścianą, oręż postawiła przy sobie... ręce jej opadły na kolana, oczy się przymknęły... w wewnętrzny zapadła świat... Ogarnęła go cały, jak coś, co się już skończyło, a ona sama już jakaś inna, nowa sobie samej, przypatrywała się swej wczorajszej osobie, jakby z drugiego brzegu, jak z oddali...

Cała młodość, odkąd myślą zapamiętać może, zamykała się w ścianach tej komnatki; w niemowlęctwie straciwszy matkę, tu mieszkała z piastunką; później, gdy siostry jeździły po krewnych, wesołe, strojne, pożądane, ona siedziała na dziedzińcu zamkowym przy starym dziadku, który bardzo dawne pamiętał czasy, i opowiadał jej, zwyczajem starców, po stokroć te same dzieje rodziny, kraju, monarchów rządu i wielkie chwile przebyte. Chłonęła w siebie ten tłum wspomnień, wypełniając szerokie linie obrazu własną wyobraźnią. Gdy dziadek z jednej wyprawy już nie wrócił, rozplakała się gorzko i przesuwiała długo w pamięci jego rozmowy. Potem znalazł się pocieszyciel, krewniak młody, wesoły, swawolny, ładny i zalotny, różniak prawie wiekiem, który wprawiał się

w poczie jej ojca do wojennego rzemiosła; nie tak jednakże wprawnie trafiał do celu strzała, jak spojrzaniem ku niej; nie tak zręcznie toczył koniem na harcach, jak wynajdował sposobności, aby się znaleźć na jej drodze... Przyszły wiosny, podobne do siebie, słoneczne, pełne kwiatów, rozmów, spojrzeń, śmiechu; przyszły pożegnania, chwilowe rozłąki, żywe powitania, młodość marzyła, kwitła i dobrze im było... Płynął im czas bez walk wewnętrznych, przyszłość nie nagliła, zjawiający się zalotnicy odchodzili z niczem, czasem wymiani za prostactwo, czasem odsunięci bez przyczyny, czasem prawie niezauważeni przez dziewczynę, która miewała chwile wielkiej dumy, jakieś dziwne przecucia i pragnienia rzeczy niezwykłych, nadzwyczajnych.

Gdy raz ojciec jechał w poselstwie do niemieckiego margrabi, a jej nie miał z kim zostawić, zabrał córkę ze sobą w przebraniu pacholecia; zadziwiała cudzoziemskich giermków zręcznością na koniu i świetnymi do celu strzałami, a starzych rycerzy niepokoiła uważnym spojrzeniem z pod czarnych, zsuniętych brwi.

A czasem... napadały ją tęsknoty słodkie, kuszące, dopominało się serce dziewicze o silne wzruszenia, o wielki bój miłości, w którym się zdobywa szczęście... Wtedy słuchała dawnych, słowiańskich piosenek krewniaka, który, wartując pod oknami zameczku, pilnował najsłabiej jej okienka, patrzyła ku niemu w dół, w milczeniu przyjmując jego jaskrawe, trochę pogańskie wynurzenia. Głos jego muskał powierzchnię jej duszy samotnej, ale nie wstępował do głębi, nie przebudzonej może jeszcze.

A czas płynął... z jednej strony zbiorąc jej poważną duszę wieściami z pola bitew, z drugiej, łaskocząc bujne serce tą ciągłą wartą rozmiłowanego towarzysza... Aż dziś... znalazła się naraż między temi trzema ostrzami... Ojcowska szabla rozstrzygnęła jej los, ten oręż co stał przy niej, to już jej pan, a tamta lanca za okienkiem, to niewinna zabawa wczoraj... dziś—już pokusa i grzech... Te trzy ostrza migwały jej w oczach, krzyżowały się w sercu, niepokoiły, straszyły, a choć zbierała na odwagę, nie mogła od razu wpłynąć na nowy gościniec przyszłości... I tak, jako wichur na rozstajnej drodze, szarpie podróżnego szatami i w oczy piasek mu miecie, tak miały ją sprzeczne uczucia, rozrywając myśli, pragnienia, obawy, żale, tęsknoty, na drobne niteczki, których jeszcze sprządk nie umiała w całość jednolitego usposobienia i boleśnie ruszała się w tej kurzawie wspomnień i mrocznej mgły przyszłości...

W obec ojca i przyszłego męża zdobyła się od razu, bez oporu na czyny stanowczy; nie chciała jeno być—daną i wziętą, lecz chciała sama rozrządzić sobą, i rzekła, że nikogo się nie lęka, i że jej nie trudno życie rozłamać na polu, tak w jednej godzinie; ale w sobie samej rozłamanie to czuła i nie mogło inaczej być... Nim sobie legowisko uścielił żubr wpuszczył, długo się w niem obraca, kręci, klody usuwa, gałęzie łamie, chrusty nagina, a potem wygodnie pada na spoczynek po wędrowkach wśród kniei... tak i czyn szybki, ważny, niespodziany, gdy wpadnie do duszy, łamie po drodze kwiaty marzeń, drobne wzruszeń różnych zioła, rozkrzewione przyzwyczajenia i póty w duszy wiruje, aż w niej zapuści korzenie i pnem się rozrośnie, około którego nowa powstaje myśli gęstwina i serce znów kwiatem porasta...

Powoli, nieznacznie, wypływała Małgosia z toni wspomnień na powierzchnię dnia dzisiejszego... Od razu stanął jej przed oczyma jej przyszły mąż. Zrzucić mu nie nie mogła; rycerz musiał być godny, skoro go ojciec wybrał, dobrym dla niej już się okazał, bo czuł, że jej walcząc przyjdzie trochę, nim się z nowym losem oswoi, ale taki był nieznan, taki obcy jeszcze; a chociaż różnił się od dotychczas widywanych wojaków spokojem obejścia i wstrzemięźliwością mowy, to przecież nie był to ten rycerz nadzwyczajny, którego widywała w marzeniach, piękny i młody, jeno człowiek już w lat schyłku, który pół wieku swego sterał w bojach, włosy pod hełmem mu zrzedniały, wąs posiwił, głęboka bruzda rozorała czoło, a koło ust wilo się smętne

znużenie... Nie znała go i nie prędko pozna, bo oddawszy jej w ręce obowiązki, sam odjedzie; może wyprawa trwać rok, może dwa, może dłużej... Otoczy ją samotność, w obcym miejscu wśród obcych ludzi, właśnie podpory żadnej nie będzie w te ciężkie czasy; wielka odpowiedzialność nie da jej zmrużyć oczu... może wróg napasć... więc bronić będzie gniazda... ale strzały gęsto lecą, nie wybierają, nie omijają... a może się zdarzyć taka, co sobie jej piersi oberze i ugodzi śmiertelnie... śmierć ich rozdzieli, zanim on się dowie, że tęskniła za nim, broniła domu i życie swe dała... Oh! złe czasy!... westchnęła Małgosia... Ależ może inaczej się stać jeszcze. Życie długie, on z wojen wróci, i razem żyć będą... w spokoju... miłości... gdybyż tak było! Walki się nie lękała, ale pragnęła ją widzieć nie taką nieokreśloną, rozplywającą się na całą może przyszłość... nie wypraszała się od trudów, ale chciała by widzieć ich kres, choćby dość daleki, ale pewny... I jeszcze musiała sobie powiedzieć, że bronienie zameczku i niebezpieczeństwa mu towarzyszące, to nie największy jeszcze trud i znój, ale gdy w samotności opadną pokusy, gdy źli ludzie otoczą, gdy ze sobą walczyć będzie trzeba... to co? Podniosła dumnie głowę...

Jak nie znała jeszcze dobrze przyszłego męża swego, tak i siebie nie znała, a zdawało jej się, że ze sobą da sobie prędko radę... zdawało jej się, że praca, obowiązek, modlitwa, wierność, wystarczą w obec wszelkich przygód... nie wiedziała, nieboga, że najskuteczniejszej brakło jej jeszcze broni, to jest — miłości dla tego człowieka. Szła jednak naprzód, do szturm, jak on mówił. A może ona go bardzo kochać będzie? kto wie? tkliwe uczucia wzbierać zaczęły... mało miał słońca w życiu? ona mu go da... bez gniazda żył, ona mu je rozweseli... bez pieszczoły żył, ona mu ugłaszcze te blizny co go bolały... i słuchać będzie jego czystego, gromkiego głosu i widzieć będzie z radością, jak jego poważne oczy błyszczą od szczęścia! Oh, warto jej iść do tego szturm, warto iść w tę nieznaną drogę, już jedna pewność na niej jest, że jemu będzie dobrze,—czy to nie dosyć? czy to nie wystarczy na razie, a może to i na zawsze wystarczy mogło—wlewać komuś codzien słońce do serca i duszę ogrzewać? Ona zawsze pragnęła takiej miłości, żeby dać mogła sto razy więcej niż wzięła miała, to się zgadzało z pełnią jej uczuć, z jej dumną ofiarnością, ale przytem czuła się młodą, bardzo piękną, i trochę ją chłodził ten żelazny, siwy rycerz, to stanowisko prawie wdowy od razu, ta konieczna samotność w chwilach kiedy jest najlepiej we dwoje.

Zmierzch wieczorny już zapadał, gdy zmęczona myślami i wzruszeniem dnia tego, usnęła tak, siedząc na stolku z głową o mur opartą. Po domu chodzono, krzątano się, ładowano rzeczy na wozy, zbierano broń; nie to nie przerywało snu Małgosi. Pod noc zmieniono strażę... i wnet łopotać zaczęło do okienka komnatki... raz... drugi... trzeci... coraz mocniej... Ocknęła się, co to? Lanca stuknęła niecierpliwie... aha! to tak, jak zwykle, jak dawniej... dobrej nocy jej życzył Zdenko. Jak dawniej? Jakże od tego wczoraj ona daleko odpłynęła na cieniach tej nocy!

— Jesteś? — pytał świeży głos z dołu—pójdź do okienka... czy spisz już, czy cię nie ma? czy cię Wila uzreka, czy Diw oczarował? no! złota moja! Małom cię widział przez dzień, a jutro jedziemy rano w czas...

Małgosia słuchała z bolesnym napięciem... pójdź czy nie? jutro może nie będzie miała kiedy krewniaka pożegnać... parę dobrych słów powiedzieć mu przecie musi... bo to już koniec... już się nie zobaczą może nigdy... A jednak nie pora jej już teraz, o zmroku, z ładnym strażnikiem wieść tkliwe rozhowy z okienka, chociażby to było już tylko pożegnanie... Pod okienko znów podjechał kusiciel, sypiący jej bławatki marzeń do serca, a namiętne kłakole do wyobraźni.

— Co tam tak cicho? Gdzieżbyś była, jeśli nie u siebie teraz? Małgosiu złota!—Lanca zgryztnęła o framugę... koń niecierpliwie grzebał ziemię... chłopak oddalał się, objeżdżając wał obronny, mrużąc przez zęby piosenkę:

Błękitne oczy i świeże usta
Miała dziewczyna, co mnie kochała,
A prosta była jak wierzba biała,
Lecz w sercu była płocha i pusta,
I mówiąc kocham—zdradzała...

Rozżaliło się serce w Małgosi... stanęła na środku komnatki i łowiła ostatnie dźwięki piosenki znanej od dawna... Wały nie były duże, zwawy konik przyniósł wnet chłopca pod okno... stanął i słuchał...

— Nie ma jej chyba — mówił głośno, — boć przecie nie męczyłaby mnie tak! A, prędzejbym się dziś uścisków Marzanny spodziewał, niż takiego obchodzenia ze mną... z bratem prawie... — dodał podstępnie.

Małgosia wahała się. Przypomniało jej się właśnie jak rok temu, gdy z ojcem i siostrami do Krakowa jeździła na odpust, ludzi były tłumy, a biskup mówił kazanie na dworze, krótkie, lecz potężne... Ścisł był straszny—ludzie następowali jedni na drugich... za nią stał ten jej „brat prawie“ i ramieniem ciżbę powstrzymywał... i czy to powstrzymać nie mógł żywej fali... czy siebie powstrzymać nie umiał, uczuła się otoczoną jego namiętnym ramieniem, bronioną niby przed jednym złem, ciągnioną w drugie... Wtem biskup blade oblicze zwrócił przypadkowo ku nim... i wzrok jego spotkała surowy, przenikliwy a przezczysty, i słowa usłyszała dobitne, jasne a zwięzłe jak grom: „Kto w niebezpieczeństwie miłuje, w niebezpieczeństwie — ginie!“ Szybkim ruchem wysunęła się wówczas naprzód o parę kroków, opadło ramię śmiałego towarzysza, i dziś, w tej oto chwili, dźwięczało jej w uszach znowu jak piorun jasny z nieba: „Kto w niebezpieczeństwie miłuje, w niebezpieczeństwie — ginie!“ Nie, ona nie pójdzie do okna z nim gawędzić, on już musi wiedzieć co się stało... czemuż ją napastuje... Poskoczyła do ściany, wzięła oręż w zaufaniu jej zostawiony, siadłszy w milczeniu, spłotła na rękojęści dłonie i tak się zadumała, jak owi legendowi rycerze Chrobrego w podziemiach Wawelu drzemiący z mieczami w rękę na nowy czekając bój...

Pod oknem znów zatętniały kopyta, błysnęła dzida w framugi i niecierpliwy głos nucił, przejeżdżając powoli, ułamek ludowej piosenki:

Szeroka woda na Wiśle,
Ty znasz dziewczyno me myśle...
Com myślał wczora, to i dziś,
Musisz dziewczyno moją być...

Małgosi się majaczyło, że już jest w męzowskim zameczku, że nieprzyjaciel dobywa twierdzy, że mury oblega, że ostateczne nadeszły niebezpieczeństwa i wróg przez wyłom uczyniony wkrada się do wnętrza... Więc gdy tentent się oddalił, skoczyła do okienka, zasłoniła je szczerze skórą losiową i wróciła na miejsce... tentent kopyt, ludowa piosenka i zaklęcia chłopca dolaływały już tylko zgłuszone, jak przez ścianę, jak przez sen, jak z dalekiej przeszłości... zatarasowała serce swoje wszelkiej pokusie, aby już żadnym wyłomem, żadnym podstępem pieśni nawet, dostać się nie mogła do wnętrza... Ogarnęła ją ciężkie znużenie, i lży dziecinne, ostatnie, płynęły długo, obficie, gorąco nad tem pierwszym pobojowiskiem w jej życiu... zamknęły się dla niej swobodne, bajeczne czasy wiosennych marzeń, a otwierały się pewne dzieje rycerskiego żywota, w których hartuje się duch...

Jeszcze dzień nie zaświtał na niebiosach, gdy w podróżnym, trochę żołnierskim ubraniu, bo w wysokim obuwiu, obcisłej granatowej sukni, z szerokim srebrnym pasem, w kołpaku na czarnych włosach, z łukiem przez ramię, bardzo wyprostowana i bardzo blada, stanęła Małgosia na ojcowskim progu. Powitała rodzica, Mikołaja, rycerzy, krótko, poważnie, bez roztkliwiań, choć jej serce z boleścią odrywało się od tych murów drogich, a gdy siwego, dzielnego podprowadził konia piękny, młody towarzysz i strzemień podawał jak dawniej, patrząc śmiało w oczy, — ona rzuciła się w siodło szybko, bez pomocy, i wzięła ułamek z rąk jego, wyniosłym

ruchem dziękując za usługę. Patrzył na nią chwilę i śmiechem wybuchnął:

— Na Perkuna! Małgosiu, wyglądasz jak królowa, taka stateczna jak nigdy jeszcze!

Zsunęła swe dumne, czarne brwi i rzekła spokojnie:

— Dziękuję ci mój krewniaku, za rycerskie twe dotąd usługi; jadę i ja, widzisz, w wielką służbę.

— Przez Światowida! wybierasz się jak Dąbrówka nawracać nieznana ziemię... ależ tam pogani nie ma! jako żywo! Chyba tacy, jako ja, co oprócz krzyżczyka na piersiach, mają jeszcze dawne bożyszcza na ustach, a młode, śliczne bóstwa w sercu!

Zuchwały młodzik patrzył namiętnie w twarz Małgosi, ale ona nie dając się wyzwać do sprzeczeki, rzekła bez gniewu i bez uśmiechu:

— Takich bałwochwalców życie samo nawróci, gdy pogańskie nazwy wyjdą ze zwyczaju, a bóstwa zawiodą; więc tobie radzę poszukać twego konika, boć piechotę za nami lecieć nie będziesz.

Sama szybko zrównała się z ojcem; Mikołaj, wspaniały na koniu, jechał z drugiego jej boku, zamysłony i rozradowany jej widokiem. Wczoraj, w mrokach izdebki wydała mu się taka drobna, przejrzysta w białych szatkach swoich, taka nieledwie dziecinna, choć na duchu harda; teraz, w przestrzeni, na słońcu, na wielkim świetle, na koniu, ujrzał cudnej urody niewiastę, dzierżącą w silnej dłoni dziarskiego konia, spokojną jak na panią przystało, i taką dziwnie pociągającą, jakiej jeszcze nie znał dotychczas.

Na szerokim świecie mnogie widywał białogłowy, ale u tej, dusza silna i czysta przemawiała tak wyraźnie przez te błękitne, uważne oczy, a słodka miłość tak cudnie rozkwitała na dziecinnych ustach, tak niewinnie a od razu brała za serce, że siwiejący rycerz, nie wiedząc jak jej to wynurzyć, a czując wezbranie wielkiego uczucia w piersiach, starym obyczajem na czele szeregów, pełnym swym głosem zaczął pieśń:

Boga Rodzico Dziewico!
Bogiem sławiona Maryjo!

Idące za nimi szeregi drużyny złączyły swe głosy; w ten wczesny ranek, po rozłogach, po gajach, po sianożęciach, po zbożach dojrzałych rozleciały się odgłosy rzeźwe i czyste, poważne i wzniosłe, jak w wielkim Boga kościele...

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Krakowa.

(Kraków w jesieni. — Kursa rzemiosł. — Szkoła Makowska).

Pierwsze dni Października; — w Krakowie coraz rojniej i gwarniej po ulicach, a staruszek, jakby chciał się przypodobać gościom, a zważyć opóźniających się z powrotem do rodzinnego grodu letników, przystroił się we wszelkie uroki pięknej, „naszej“ w całym znaczeniu tego wyrazu (bo to przecież „Babie Lato“!) jesieni. Pod blado - szafirowem, doprawdy od włoskiego piękniejszym niebem, strzelają ku górze, lub poważnym rysują się profilem wieże i kopuły gmachów Krakowa, takie stylowe, takie starożytne, lub do starożytnych dostrojone, że się na ich widok serce raduje i wzbiera uczucie estetyczne. Uczucia te coraz silniejsze i głębsze u nas, dzięki najrozmaitszym wykładom, pogawędkom, odczytom i staraniom towarzystwa miłośników Krakowa (historii i zabytków). Uczymy się patrzeć na to, co nas otacza, cenić je i poznawać i teraz trudnoby już było zastosować do nas przysłowie: „Cudze chwalicie, swojego nie znacie i t. d. Ale bo też i cudzoziemiec (estetyczny, ma się ro-

zumieć, nie żaden hakatysta), przybywający do nas z Niemiec, a choćby i z pięknej Italii nie mógłby obojętnym patrzeć okiem na ten Rynek Krakowski (co do wielkości, jak wiadomo, ustępujący tylko S. Markowi w Wenecyi) na Maryackie wieże, starą Ratuszową, tak spokojną, poważną, na wyzębione mury Sukiennic, a wszystko ozłoczone blaskami jesiennego słońca i zasnuć delikatną, przezroczą, srebrzystą mgłą październikowych opadów i na plantach różnobarwnem a rzadziejcem już liściem ocienionych, przesnuwają się owe subtelne, srebrne, złoczone słońca promieniami niteczki i zdają się chwycić nas i wiązać z tem, co nas otacza.

„Potem do gotowego gnuśna zima wstawa...“ mówi poeta, ale my wcale nie myślimy gnuśnieć w zimie. Tyle jest do czynienia! tyle planów i projektów, nie mówiąc o tem, co się pozaczynało, a co kończyć trzeba. Więc się składamy na szkołę w Białej, tę na uczczenie nieboszczyka Bismarcka przez lojalnych Niemców błotem obrzuconą szkołę, która mimo to stoi i już gromadzi w swych murach 360 dzieci, ale dzieci bose i głodne, i już im ciasno w tych murach, a przybędzie więcej jeszcze, więc się składamy, żeby w zimie dzieci okryć i nakarmić nie tylko duchową strawą, do której tak ochoczo biegną, żeby parę sal dobudować w naszej, ze składek tylko wzniesionej szkole.

Tu znów, ruchliwa jak zawsze, „Czytelnia dla Kobiet“ otwiera kursa rzemiosł i sztuków wszelakich dla pracownic, więc będzie szycie, krawiectwo, introligatorstwo, kwiaty sztuczne, wypalanie na drzewie i t. p., i czego tam jeszcze nie będzie. Może się nie wszystko uda, nie wszystko da utrzymać, ale próbować trzeba i sława tym, co własnej pracy i czasu nie żałując, myślą o biedniejszych, i potrzebującym chcą dać chleb w rękę, chleb najpewniejszy, najsmaczniejszy, bo zapracowany. Gdy się kursa ułożą i rozwiną, postaramy się szczegółowe o nich sprawozdanie złożyć czytelnikom; teraz jeszcze słówko o szkole Makowskiej, której wyroby opisywaliśmy, z powodu pięknej ich wystawy w Maju tego roku urządzonej, także w niezamordowanej „Czytelnii dla Kobiet“ (Szpitalna 7).

Szczegóły o tej instytucji, rozwijającej rozzimny nasz przemysł artystyczny, zawdzięczamy uprzejmości lustratorki zakładu, p. Leony Bierkowskiej, znanej z kądinąd w świecie malarskim, gdzie jej obrazki rodzajowe i krajo-brazy, pocztne zajmują miejsce.

Otóż pokazuje się, że w Makowie (ładnej, podgórskiej wsi w pobliżu Suchej) nie ma prawie chaty, gdzieby gospodarz lub gospodyni nie zajmowali się haftem. Dawniej ozdabiali nim swe malownicze stroje, które zarzucili — niestety — obecnie; hafty zaś białe, dość grube i niezręczne obnosili po jarmarkach, lub sprzedawali za bezcen handlarzom, którzy znów to, z wielkim dla siebie zyskiem rozprzedawali na Stradomiu, w Krakowie. Przed dziesięciu laty Wydział krajowy, pragnąc podnieść ten przemysł miejscowy i zarazem ulżyć biedzie mieszkańców; ludność, bowiem, Makowa jest bardzo ubogą, — założył małą szkółkę hafciarską, w jednej izbie. Szkołka ta, nieudolnie prowadzona, groziła upadkiem i wtenczas wzięto się energicznie do dzieła, by ją podtrzymać i rozwinąć, a kiedy miejscowe Towarzystwo zaliczkowe ofiarowało bezinteresownie w swym budynku pomieszczenie dla szkoły, — Wydział krajowy udał się do proboszcza Makowskiego, ks. Harscha o przyjęcie honorowego kuratorstwa, mianował lustratorką honorową pannę L. Bierkowską, na kierowniczkę zaś szkoły powołał p. Ewę Antonowiczównę ze Lwowa. Dzięki umiejętności, zamiłowaniu i pełnemu taktu postępowania z uczennicami, nowa kierowniczka wpłynęła najkorzystniej na rozwój szkoły, tak, że w przeciągu kilku miesięcy liczba uczennic z siedmiu wzrosła do 45 ciu, w rysunkach zaś i robotach tak widoczny był postęp, że znaleziono na wyroby szkoły chętnych nabywców.

Wobec tak pomyślnego rozwoju przemysłu miejscowego, nasunęła się kwestya, czyby mu nie można nadać odrębnej cechy, opartej na swojskich, staro-góralskich zabytkach. I w tym celu, wyprawione kosztem Wydziału krajowego panie: Bierkowska i Antonowiczówna udały się do Zakopanego, gdzie w zbiorach p. Dembowskiej znalazłszy odpowiedni materiał, powróciły z tekami pełnemi stosownych, w stylu staro-góralskim wzorów i motywów do haftu. Wykonywane na tę modłę roboty zbywały się łatwo, a zamówienia napływały tak szybko, że szkoła na warsztat zmieniać się zaczęła. Wtenczas powstała myśl stworzenia instytucji, pod nazwą: „Pracownia Zjednoczonych Hafciarek,” a to w celu dopomożenia uczennicom w zbywaniu ich wyrobów, czuwania nad swojską cechą haftów i prowadzenia strony administracyjnej interesu. Po otrzymaniu zasiłku od władz krajowych (400 złr.), utworzono w dniu 1 Maja 1897 r. „Pracownię Zjednoczonych Hafciarek,” do zarządu której, jako przewodnicząca bezinteresownie weszła p. Anna Pawluskiewiczowa; p. Leona Bierkowska zaś, jako sekretarka, a siostra jej, p. Karolina B., jako kasyerka. Kierownictwo pracowni za minimalnem wynagrodzeniem (bacząc na skromne fundusze stowarzyszenia) objęła i biegle prowadzi p. M. Smolarska; zamówień zaś dostarcza stale zakład hr. Zamoyskiej z Zakopanego. Oprócz tego z różnych stron obstalowują wyroby szkoły makowskiej, to jest: hafty białe i kolorowe, serwety, makaty, poduszki, torebki najrozmaitsze, pasy, serdaki, gunie i t. p., odwzorowane na motywach staro-góralskich. Pracownia otwartą jest przez rok cały.

Dotąd jednak pracownia nie posiada żadnego funduszu żelaznego i czeka na poparcie ogółu, oraz władz autonomicznych.

Oprócz celów filantropijnych, zadaniem pracowni jest stwarzanie wyrobów, któreby odrębną cechą charakterystyczną różniły się od robót, wykonywanych w innych okolicach i dały się poznać pod nazwą „haftów Makowskich.”

Kurs nauki w szkole haftu trwa 2 lata i jest bezpłatnym, ale dla szczupłości lokalu więcej niż trzydziści uczennic jednocześnie przyjąć nie można. Przez dwa miesiące letnie (lipiec i sierpień) szkoła jest zamkniętą, po uroczystem zakończeniu roku z rozdaniem świadectw i nagród (w postaci drobnych wkładek do książeczki Kasy Oszczędności). Istnieje również kilka stypendyów przez Wydział krajowy i Towarzystwo zaliczkowe ustanowionych.

Dodać należy, że starsze kobiety w Makowie skwapliwie córki swe posyłają do szkoły i „pracowni,” same jednak nie starają się tam udoskonalać i kształcić; powodem tego konserwatyzm źle pojęty, wstyd fałszywy lub niezrozumiałość.

M. Ś.

MYŚLI.

Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Serce matki jest arcydziełem Stworzyciela.

Ach! jak okropnie błądzi kobieta, która więcej chce być nad to, na co ją Bóg przeznaczył.

Przywiązanie dobrej matki, wieczną pamięć w sercach ludzkich zostawia. Cnotliwy młodzieniec z zapalem o niej mówi, a sędziwy starzec zapomni o miłości, o sławie, o znaczeniu, a na wspomnienie matki, skropi łzą cichą zorane wiekiem lice.

Mężczyźnie powierzył Wszechmocny ogół życia, kobiecie szczegóły: do dwóch malarzy oboje przyrównać można: jeden, obrał wielkie obrazy, widoki; pewnej mu i śmiałej ręki do kreślenia ich potrzeba; drugi, miniatury i kwiaty; ostatni ten wybór, cierpliwości, słodyczy i delikatnego pędzla wymaga. W obudwóch dojść do doskonałości może.

Wiesz, jaki ma związek stan nasz fizyczny z moralnym, staraj się więc być zawsze wesołego i jednostajnego humoru, nie bierz za żywo życia tego przykrości; bądź umiarkowaną we wszystkim, chroń się namiętności gwałtownych, a nadewszystko unikaj zbytecznej czulości! Wierzyć mi możesz, że nie więcej i szczęścia i zdrowia nie niszczy. Pewny porządek i prostota w życiu, zasadą są zdrowia. Na prostocie życia wiele zawisło, wyszukana wykwićność każdemu szkodliwa. Bądź zawsze w tej mierze dzieckiem przyrodzenia, a zdrową i swobodną będziesz.

Ganię tych, co sądzą ludzi z powierzchowności, bo często pozory są mylne. Niech wdzięki lub szpetność powierzchowna nigdy cię ani nęca, ani odstręczają i nim dasz wyrok o osobie, którą pierwszy raz widzisz, czekaj, póki jej duszy nie poznasz.

Są wdzięki, w każdego zostające mocy: cnota, rozum i piękne ułożenie. Każdy ich nabyć może; a kto je posiada, istotniejsze jeszcze nad piękność ma zalety; ujmuje wszystkich dla siebie, powszechny szacunek wszędzie mu towarzyszy.

Niedoskonałość jest właściwą cechą ludzkości, i takie jest przyrodzenie człowieka, że udoskonalenie wykrywa tylko słabość jego.

Trzymaj się drogi cnoty a z łatwością dojdiesz do szczęścia.

Człowiek unikać powinien trapiącej zgrzyoty, a dni życia swego ile możności osładzać uciechami, byleby te w niczem go nie upodlały i były zgodne z wysokim jego przeznaczeniem.

Człowiek każdy dwa razy umiera, dwie są dla niego powodzie; pierwsza: kiedy go wiek sędziwy nachyli, druga: kiedy kona. W pierwszej gubi wdzięki, powaby, zdrowie, i jeśli nie miał cnot, rozumu i przyjaciół, nic mu nie zostaje, w drugiej wszystko traci, cnotę tylko i nadzieję ratuje.

Prawdziwa piękność, podług mnie, na trzech rzeczach zawisła: na pięknej duszy, dobru i tkliwym sercu i ozdobnym umyśle. Jej nabyć godne jest największej uwagi i starania.

Wdzięk ciała, złączony z wdziękiem duszy, nieocenionym jest skarbem. Kobieta łącząca w sobie powaby piękności z pociągami tkliwego serca, ponęty rozumu z wdziękami duszy, najdoskonalszem przyrodzenia jest dziełem.

Myśl o śmierci, smutna jest dla umysłów słabych, okropna dla występnych, potrzebna dla duszy prawdziwie pobożnej, słodka dla nieszczęśliwych.

Wdzięczność pamięcią jest serca, a delikatność spojrzeniem jego nazwaćby można; tak bowiem wie drogę do serc drugich, tak do nich przemawia, tyle trafności ma w sobie, iż zdaje się, że widzieć musi.

Już dosyć u obcych czerpałyśmy światła; czas byłoby odeprzeć zbyt wielki wpływ cudzoziemszczyzny, a zarzuciwszy zagraniczne mowy, ojczyściej całkiem się poświęcić. Przejmijmy się naprzód, na wzór innych niewiast, miłością narodowego języka.

Nie ma pożyteczniejszej nauki i bardziej podnoszącej ku Bogu, jak nauka cudów przyrodzenia. Przyrodzenie jest najmędrszą, najdoskonalszą z ksiąg zdolnych do ozdobienia rozumu naszego, do ukształcenia serca, i do udoskonalenia rozsądku. Umiej cenić niewyczerpane piękności przyrodzenia. Czemuż jest cała okazałość sztuki w porównaniu tworów jego a jakież widowisko piękniejszym być może nad wschód słońca w pogodnym dniu majowym, nad jasną noc sierpniową!

Choć pójdziesz za męża, nie zaniedbuj nigdy nabytych talentów; pojąć nie mogą dlaczego prawie wszystkie młode osoby, skoro wejdą w stan małżeński, w rok jeden zapominają, czego się z pracą i kosztem przez lat kilkanaście uczyły. Czyż kobieta nie potrzebuje podobać się mężowi? czy lat tylko kilka przyjemną być powinna?

Bez wątpienia, nie tak nie otwiera umysłu, jak rozmowa. Prędzej zapomnę zdarzenia lub myśli pięknej, przeczytanych kilkakrotnie, jak zdania albo wypadku, o których raz mówiących słyszę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 11-ty powieści, p. t. *Dla sztuki*, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S.

Treść: Klementyna z Tańskich Hofmanowa (rysunek). — W setną rocznicę urodzin Klementyny z Tańskich Hofmanowej, przez Szczęsną. — Klementyna z Tańskich Hofmanowa, przez J. Moszczeńską. — Klementyna Hofmanowa jako powieściopisarka, przez J. Nitowskiego. — Biała baszta, nowella, przez Szczęsną (dalszy ciąg). — List z Krakowa, przez M. Ś. — Myśli Klementyny z Tańskich Hofmanowej. **Dodatek obejmuje:** *Dla sztuki*, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkuś 11-ty. — Przegląd mód. 28 wzorów i robót. z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.